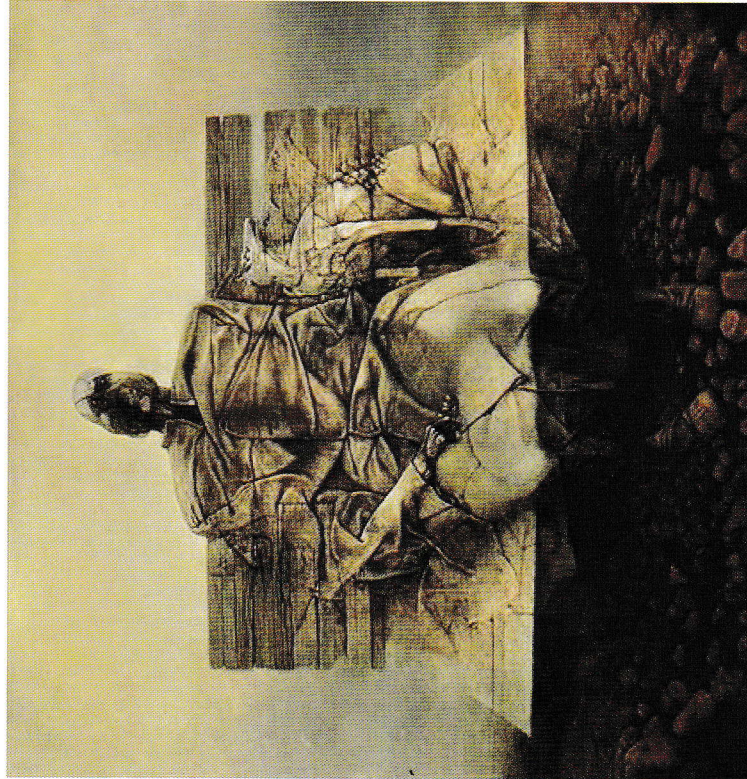




Izabela Fietkiewicz-Paszek

PRÓBY WYJŚCIA

[Beksiński po raz pierwszy]



O twarzy nic – jakby w niej początek tabu.
Z bliska dobrze widać pod lewym ramieniem
wtulonego psa czy inne stworzenie
(nic tu nie jest pewne – może oprócz śladu

czułości). Co dalej? Przy tej dewastacji
brakuje odwagi dla najprostszych pytań,
o pleć, o to z lewej – co zresztą wynikać
mogłoby z tej wiedzy? Najważniejszy plastik,

sukno, drewno, papier – czymkolwiek materia,
tak zmyślnie upięta, że odcina z wprawą
od ciekawych oczu ludzką pozostałość,

tak fantazję spina, tak umysł wypełnia,
żeby już nie wnikać, czy coś ocalało:
choćby pismo, imię, czyjś żal za nim – za nią.

7.01.2010

[Beksiński po raz drugi]

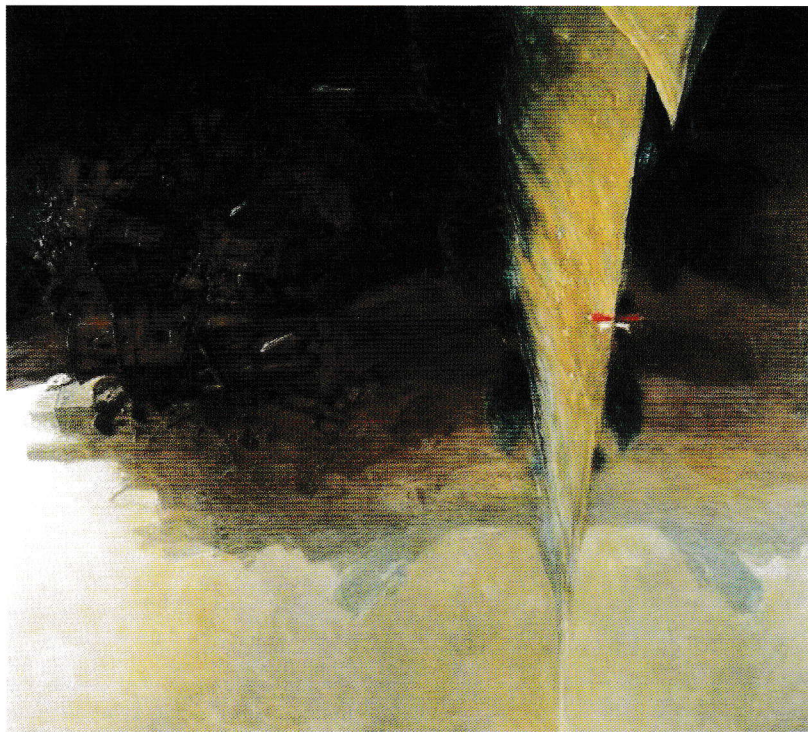
Miasto wsuwa się w sen. Zaglądam mu w oczy
wydłubane w ścianach. Przeciąga się, ziewa,
jeszcze na mnie patrzy, chłonie głos, a jednak
nie chce dłużej czekać, zaczyna się mnożyć,

rozrastać, wykrzywiać, domy gną się, kleją
schodami, krzyżują, wspinają po sobie
przejścia, korytarze zmieniają krwiobieg,
uciekają formie, poddają się sterom

fantazji Daivy – do niego należą
pionki, plansze, kości, do nas jeden sezon,
odcinek na rzece, rozmyte odbicia,

w które się wczepiamy niezdarnie kalecząc
językiem: wszystko, by zatrzymać. Uciekną.
I wrócą – obcym snem, za innego życia.

8/9.01.2010



[Beksiński po raz trzeci]

Można kontemplować, o ile natura
łaskawie zostawi refleksyjny profil.

Można godzinami z innymi się tłoczyć,
jeśli chłód kamienia lub jego tekstura

zbyt mocno doskwiera. Tu ćwiczą na drążkach,
jakby to w kondycji tkwił klucz do powrotu,
ktoś się płaszczy przed kimś, tam szukają tropu
do wyjścia. Jest czułość; jest miejsce dla bożka

dyżurnego, i tych, co w bezruchu, zanim
się rozjaśni; są sny, panoszą się zadry;
jest wstręt, strach, znużenie – przemyczone żywcem.

Brakło sprzętów, imion, znanych smaków, nakryć
– ponoć rozpraszają. Podobnie jak kaprys
wiary. Jest horyzont, za nim jest dotkliwsze.

9/10.01.2010





[Beksiński po raz czwarty]

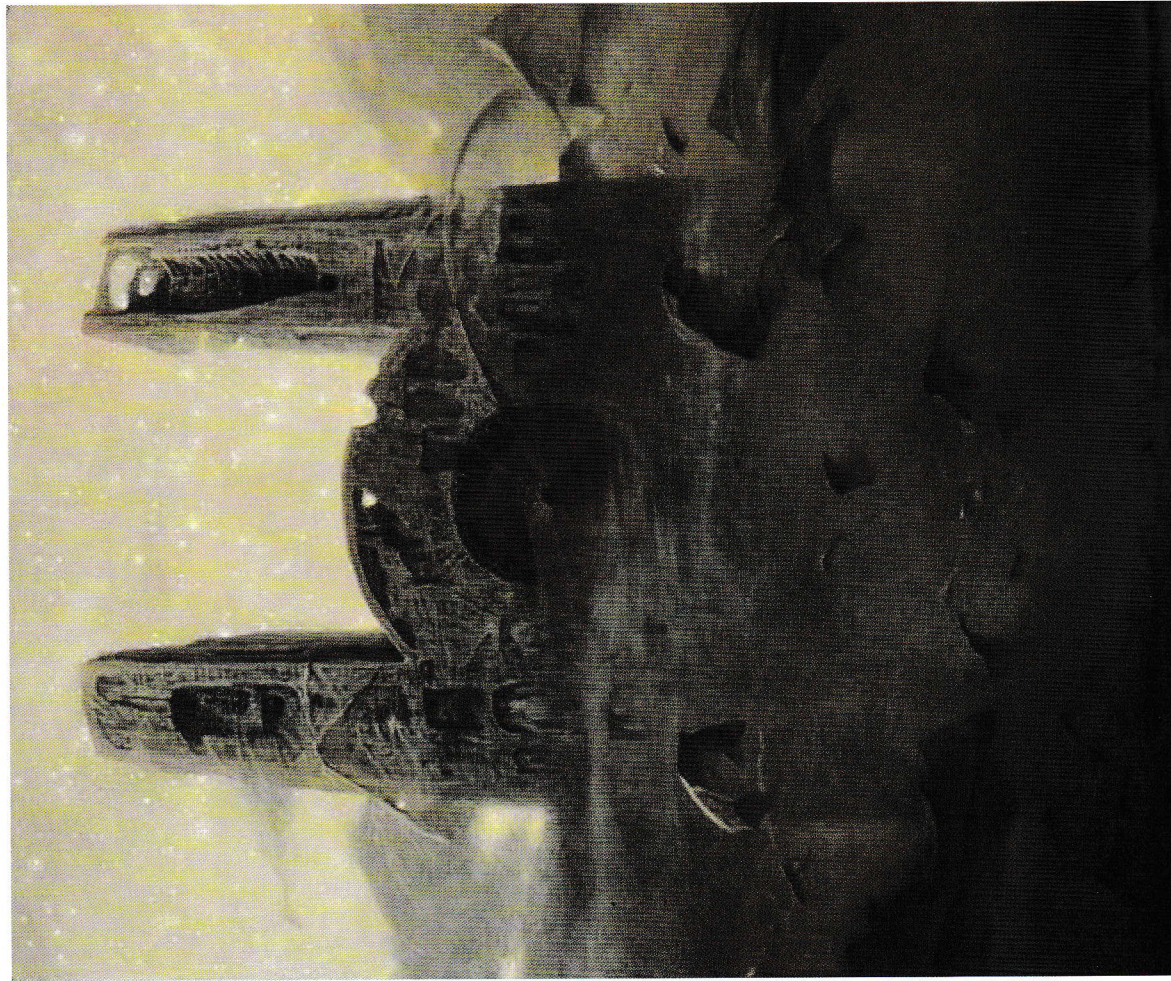
Kto ich tu posadził, zaciągnął na wieżę?
Kto obdarzył słuchem i skazał na ciszę,
a drogi ucieczki umiał zamknąć mitem
przyszłej szczęśliwości? Dał im parę legend

zamiast pary skrzydeł. Trzymają się (widać
w zbliżeniu) kurczowo. Miękkie łuki pleców,
głowy pochylone pod ciężarem przeczuc.
Wprawne omijanie złych snów, blizn i pytań

daje spokój. Ogień. Najważniejszy ogień,
co hartuje wolę, rozjaśnia zamglone
twarze i przestronie; wytapia czerni źrenic.

Są i puste wieże, na nich nic nie płonie.
Nikt nie pyta. Ciemność. Kiedyś zacznie boleć
– ktoś i ją zakłóci, od światła oddzieli.

12/13.01.2010



[Beksiński po raz piąty]

Tu sen się urywa: nie ma kto dopisać
następnej sekwencji ani przejąć władzy
nad kolejnym aktem. Teraz strach prowadzi
dziwną grę z rozumem: kto przegrywa – znika.

Strach znowu jest górą. Trudno się wykręcić,
trudno kamuflować jasność na obrzeżach
myśli. Chłód, wiatr, gruzy – perwersyjna rewia;
stery obejmują żywioły, afekty.

I nie ma takich słów, nie ma takich bogów,
co wstrzymają rozpad. Żadnego sposobu,
jak przywrócić wiarę w ruiny kościoła,

w to, że w nich coś przetrwa; żadnego uskoku
w rezerwowy wymiar. Trzeba złożyć okup,
podjąć sen na nowo, spojrzeć w lustra monad.

25/26.01.2010

[Beksiński po raz szósty]

Wszystko tu czytelné: są śmierci przydrożne
markujące skały, prosta, wąska droga,
przytłumione światło, fragment nieba w brązach,
żadnej bocznej ścieżki – zmysły niezawodnie

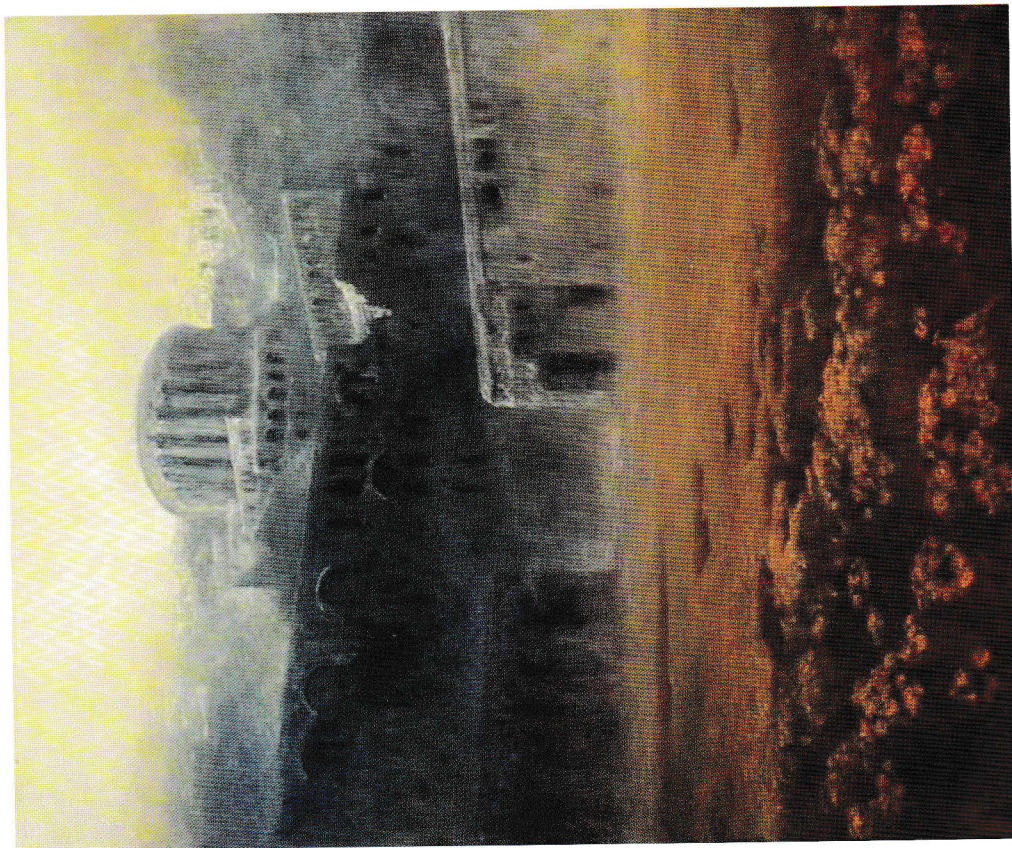
rozpoznają teren. Co innego rozum:
waży sylogizmy, szuka zarysowań,
tropiąc nieścisłości – na siłę przeciąga,
tak, by można drogę do wyjścia z wąwozu

bez końca wydłużać, zmieniać w metaforę
wiecznego powrotu. Dla rozumu koniec
jest nie do pojęcia, będzie negocjował,

układał się z wiarą – w niej przemycił ogień:
jedyną materię zdolną unieść gnozę,
dać pewność na szlaku, wyznaczyć pobocza.

28.01/01.02.2010





[Beksiński po raz siódmy]

Pomimo kontrastu między ruinami
nieczynnej świątyni (z kamienną powagą
stoją w poprzek nurtu, jak gdyby – wbrew prawom
o rozpadzie świata – mówiły: czuwamy

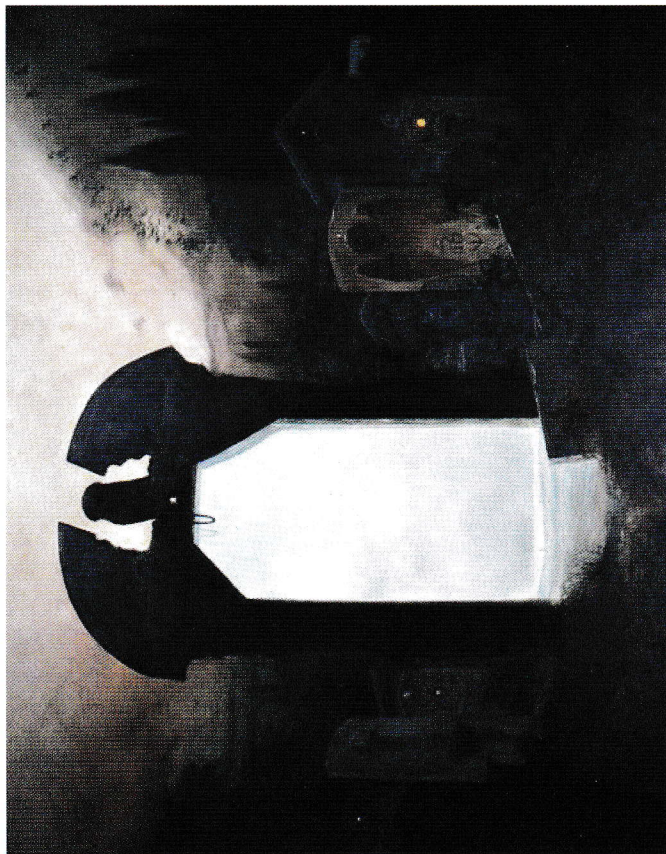
nad tym, co niezmienne) i świeżością kwiatów
(beztrosko oddanych ulotnej przygodzie
z materią, gotowych na wszystko: entropię
i gwałtowny koniec); pomimo zamachu

na porządek rzeczy – jest jakieś decorum
ponad sprzecznościami, namiastka spokoju
(choćby i ten spokój miał być katatonią

– łagodzi dysonans). Mieszanina tonów
pozornie odległych tak wypełnia ogród,
żeby nie zagrozić zgrzytem czy aporią.

9/10.03.2010

[Beksiński po raz ósmy]



Nawet chłód pozorny. Nielatwo rozproszyc
to, co niewidoczne; jeśli lustro pęknie,
tysiące odłamków przemycą zaledwie
fragmenty odbicia, w nich zapowiedź gnozy

nieczytelnym szyfrem. Będą po krawędziach
układać mozaikę, sklejając wątpliwości,
brakujące części spróbują zastąpić,
pozostałe – zmilczą. Dalej to synergia,

wreszcie błogi komfort, że obraz kompletny.
I nic się nie stanie, nikt się nie skaleczy
za mocno. Tak będzie. Jeśli się roztrzaska,

niech odłamki wejdą w stopy, pod powieki,
niech dotrą do serca; stamtąd egzegezi
będą je wyjmować. Jeśli pęknie tafla.

12/14.03.2010



[Beksiński po raz dziewiąty]

Prawe jest z kamienia, ciężkie i nieczule
na kaprysy aury. Trzeba wytrwałości,
niebawem siły, żeby nie odstąpić
od lotu. Jest obce, ma szorstką fakturę,

ciśnie jak proteza, źle dobrane imię.
Co innego lewe: trudno je utrzymać
w ryzach, opanować, gdy sprytnie wymyka
się i zmienia tory, i próbuje wyżej,

i wyżej, i wyżej. Kiedy tak się stroszy,
igra z grawitacją, daje się ponosić
rozmaitym prądom – wygrzywa z ciężarem,

ze strachem; pod światło muszą mrużyć oczy
– próbując odczytać rysunek prognozy,
złapać koniec pętli, piórko, oddech, kamień.

16/18.03.2010